

AMBROSE BIERCE

**CZUWANIE
PRZY ZWŁOKACH**



FIKcje I FAKTY 4/1987

I

W pokoju na piętrze nie zamieszkanego budynku w dzielnicy San Francisco zwanej North Beach leżało ciało mężczyzny przykryte prześcieradłem. Dochodziła dziewiąta wieczór. Jedyne światło nappełniała pokój mdłym blaskiem. Choć na dworze było ciepło, oba okna - wbrew obyczajowi, nakazującemu zapewniać zmarłym obfitość powietrza - zamknięto, opuszczając też rolety. Na umeblowanie pokoju składały się zaledwie trzy sprzęty: fotel, niewielki pulpit, na którym umieszczono świecę, oraz długi stół kuchenny, na którym umieszczono wspomniane już ciało mężczyzny. Przedmioty owe, jak również zwłoki, najwidoczniej wniesiono do pokoju całkiem niedawno, albowiem świadek - gdyby był przy tym jaki świadek - spostrzegłby, że nie są one pokryte kurzem, podczas gdy wszystko poza tym pokrywała wcale gruba warstwa pyłu, tam zaś, gdzie ściany tworzyły kąty, widać było pajęczyny.

Poprzez płótno widoczne były kształty ciała, a nawet rysy twarzy, odznaczającej się ową nienaturalną ostrością i wyrazistością, która zdaje się być właściwą twarzom zmarłych, w istocie jednak cechuje tych jedynie, których wyniszczyła choroba. Z cizy panującej w pokoju słusznie można było wnosić, że nie jest on położony od frontu, a okna jego nie wychodzą na ulicę. W rzeczy samej, okna te wychodziły jedynie na wyniosłą skałę, ponieważ tylna ściana domostwa wbudowana była w zbocze wzgórza.

Zegar na wieży pobliskiego kościoła wybijał właśnie dziewiątą, guzdrając się przy tym w sposób, zdający się świadczyć o takiej obojętności wobec upływu czasu, że nieodparcie nasuwało się pytanie, czemu w takim razie zegar ten w ogóle zadaje sobie trud wybijania godzin, kiedy drzwi - jedyne, jakie były w pokoju - stanęły otworem przed mężczyzną, który skierował swe kroki w stronę zwłok. Drzwi tymczasem zamknęły się, jak gdyby samorzutnie. Rozległ się zgrzyt, jakby klucz z trudem obracał się w zamku, po czym zasuwa z trzaskiem wśliznęła się w uchwyt. Następnie zza ściany dał się słyszeć odgłos kroków oddalających się korytarzem; wszystko zdawało się świadczyć, iż mężczyzna, który wszedł do pokoju, jest więźniem. Zbliżywszy się do stołu, pochylił głowę i przez chwilę przypatrywał się ciału, po czym wzruszywszy z lekka ramionami podszedł do jednego z okien i podciągnął zasłonę. Ciemność na dworze panowała zupełna, szyby pokrywał kurz, lecz starszy go mężczyzna przekonał się, że okno zbrojne jest w mocne, żelazne pręty, biegnące poziomo w odległości paru cali od szyb i wmurowane po bokach framugi. Obejrzał drugie okno. Nie różniło się od pierwszego. Nie zdradził większego zaciekawienia, nie odsunął nawet dolnej połowy okna. Jeśli istotnie był więźniem, należał widocznie do tych, co łatwo dają sobą powodować. Obejrzawszy pokój, zasiadł w fotelu, wyjął z kieszeni książkę, przysunął sobie pulpit wraz ze stojącą na nim świecą i zaczął czytać.

Był to młody człowiek, lat najwyżej trzydziestu, o smagłej cerze, gładko wygolony, szatyn. Twarz miał szczupłą, o wydatnym nosie, szerokim czole i „mocnym” zarysie podbródka i dolnej szczęki, jaki zdaniem osób obdarzonych taką właśnie fizjognomią jest oznaką siły charakteru. Oczy, szare i nieugięte, bez określonego zamiaru nie zmieniały położenia. Obecnie przez większość czasu utkwione były w książce, niekiedy jednak mężczyzna odrywał spojrzenie od lektury, by obrzucić nim spoczywające na stole ciało; zainteresowanie to najwyraźniej nie brało się ani z ponurej fascynacji, jakiej w takich warunkach ulec mógłby nawet człowiek odważny, ani ze świadomego buntu przeciwko nieprzyjaznym wpływom, mogącym owołać kimś bojaźliwym. Młodzieniec spoglądał w stronę nieboszczyka tak, jakby czytając napotkał coś, co przywróciło mu poczucie rzeczywistości. Jasnym było, że czuwając przy zwłokach człowiek ten wypełnia powierzone mu zadanie roztropnie i powściągliwie, w sposób godny.

Poświęciwszy lekturze jakie pół godziny, musiał widocznie doczytać rozdział do końca: bezdźwięcznie odłożył książkę, wstał i podjąwszy pulpit z podłogi, zaniósł go w róg pokoju,

w pobliże jednego z okien, a wzięwszy świecę do ręki, wrócił z nią tam, gdzie siedział do tej pory, przed pustym kominek.

Po chwili podszedł do leżącego na stole ciała, uniósł prześcieradło i odchylił róg zakrywający głowę, odsłaniając w ten sposób bujne, ciemne włosy oraz skrawek cienkiej tkaniny, zakrywający twarz zmarłego, której rysy przebierały poprzez zasłonę z jeszcze większą niżli przedtem wyrazistością. Osłoniwszy oczy wolną ręką, którą umieścił między nimi a świecą, mężczyzna utkwiał w swym nieruchomym towarzyszu spojrzenie poważne i spokojne. Dokonał oględzin i zaspokoiwszy ciekawość, ponownie okrył prześcieradłem twarz zmarłego, wrócił do miejsca, gdzie stało krzesło, wziął z podstawki lichterza kilka zapalek, włożył je do bocznej kieszeni sakpala i usiadł. Następnie wyjął świecę z lichterza i obrzucił ją krytycznym spojrzeniem, jak gdyby chciał oszacować, czy na długo jej starczy. Miała niespełna dwa cale. Jeszcze godzina, a więzień znalazłby się w ciemnościach. Wstawił świecę z powrotem w lichterz i zdmuchnął płomień.

II

W gabinecie lekarskim przy ulicy Kearny trzech mężczyźni popijali poncz i palili, zasiadłszy wokół stołu. Był późny wieczór, ściślej mówiąc, zbliżała się północ, a gdy rozpoczęli biesiadę, ponczu było w bród. Gospodarzem był ten, który najposepniejszą zachowywał powagę - doktor Charter; to właśnie w jego apartamencie gościli. Liczył on sobie około trzydziestu lat. Pozostali byli jeszcze młodsi. Wszyscy obecni byli lekarzami.

- Zabobonna trwoga, którą żywi czują wobec umarłych - powiedział doktor Charter - jest dziedziczna i nieuleczalna. Nie ma powodu, by wstydzić się jej bardziej niż tego, że za przyczyną dziedziczności jest się, dajmy na to, pozbawionym uzdolnień matematycznych albo też ma się skłonność do kłamstwa.

Pozostali biesiadnicy wybuchnęli śmiechem.

- Czyż człowiek nie powinien wstydzić się kłamstwa? - spytał najmłodszy, który, prawdę powiedziawszy, dopiero studiował medycynę i nie miał jeszcze dyplomu.

- Drogi panie Shelby, bynajmniej tego nie powiedziałem. Co innego mieć skłonność do kłamstwa, a co innego - kłamać.

- Czy jednak sądzi pan - powiedział trzeci - że ten przesąd, ten lęk przed zmarłymi - bezpodstawny, jak wiemy - jest zjawiskiem powszechnym? Co do mnie, stwierdzić muszę, że uczucie to jest mi nieznanne.

- Ba, kiedy ono i tak przenika pański organizm - odparł Charter. - Wystarczy, że powstaną odpowiednie warunki, że, jak powiada Szekspir, „pomyślna nastanie pora”, a ujawni się w ten czy inny, nader dokuczliwy sposób, panu zaś bielmo spadnie z oczu. Oczywiście, lekarze i żołnierze podlegają temu uczuciu w mniejszym stopniu niż inni ludzie.

- Lekarze i żołnierze! Niech pan doda jeszcze: oprawcy i kaci. Żadna kategoria zabójców nie powinna zostać pominięta.

- Nie, drogi panie Mancher. Żadna ława przysięgłych nie dopuści, ażeby wykonawca wyroków spoufalili się ze śmiercią aż do całkowitego zobojętnienia.

Młody Shelby, który wstał tymczasem, by wziąć sobie z kredensu nowe cygaro, znów zajął miejsce przy stole.

- Jakie warunki winny pańskim zdaniem zostać spełnione, aby ktokolwiek bądź, kogo zrodziła kobieta, zyskał nieznośną świadomość tego, jak dalece w tej materii podziela wspólną nam wszystkim słabość? - spytał stylem dość przegadany.

- No cóż... powiedziałbym, że człowiek, którego zamknięto na całą noc sam na sam z trupem... w ciemnym pokoju... w opustoszałym domu, bez narzuty, którą mógłby sobie nacią-

gnąć na głowę... gdyby to przetrzymał, nie wariując do cna, śmiało mógłby się pysznić, że nie zrodziła go kobieta, ani też nie przyszedł na świat tak jak Macduff, w drodze cesarskiego cięcia.

- Myślałem, że bez końca będzie pan mnożył warunki - powiedział Shelby. - Ale znam kogoś, kto przyjmie je co do jednego i założy się o każdą sumę, jaką spodoba się panu wymienić.

- Któż to taki?

- Nazywa się Jarette - nikt go tu nie zna. Pochodzi z tego samego miasta w Nowym Jorku, co ja. Nie mam pieniędzy, żeby na niego postawić, ale on sam na siebie postawi całą furę.

- Skąd pan wie?

- Potrafi obejść się bez jedzenia, jeśli ma z kim się zakładać. A strach - śmiem twierdzić, że dla niego strach to rodzaj choroby skórnej, a może szczególna odmiana herezji religijnej.

- Jak on wygląda? - Charter najwyraźniej zaczynał być ciekaw.

- O, tak jak Mancher - mogliby ujść za bliźniaków.

- Przyjmuję wyzwanie - rzekł szybko Charter.

- Wielcem zobowiązany za komplement, bez wątpienia - wycedził Mancher, któremu chciało się spać. - Mogę się przyłączyć?

- O ile postawi pan przeciwko mnie - powiedział Charter. - Nie zależy mi na pańskich pieniądzech.

- W porządku - powiedział Mancher. - Będę trupem.

Pozostali wybuchnęli śmiechem.

Co wynikło z tej pomyłkowej rozmowy, jużesmy widzieli.

III

Świecę, której tak skromny mu przydzielono ogarek, zgasił pan Jarette po to, by móc się nią posłużyć w jakowejś nieprzewidzianej potrzebie. Być może kierował się przy tym myślą bądź poczuciem, iż ciemność nie okaże się straszniejszą teraz aniżeli potem, jeśli zaś sytuacja stałaby się nie do zniesienia, lepiej będzie mieć w odwodzie jakiś sposób, pozwalający szukać ulgi, a może nawet ucieczki. W każdym razie rozsądek nakazywał zachować źródelko światła, choćby po to tylko, żeby móc spojrzeć na zegarek.

Zdmuchnąwszy świecę i postawiwszy ją na podłodze obok fotela, Jarette od razu usadowił się w nim wygodnie, złożył głowę na oparciu i zamknął oczy, w nadziei i w przekonaniu, że zaśnie. Tu jednak spotkał go zawód: nigdy w życiu nie czuł się mniej senny, toteż po paru minutach poniechał tego zamiaru. Cóż jednak miał począć? Nie mógł błąkać się po omacku w zupełnych ciemnościach, ponieważ groziło to nie tylko posiniaczeniem, ale i tym, że zawadziwszy o stół, grubiańsko zakłóci spokój zmarłemu. Wszyscy przyznajemy, że zmarli mają prawo spoczywać w pokoju, że wszelka szorstkość i gwałtowność winna im być oszczędzona. Jarette starał się wzbudzić w sobie przekonanie - i niemal mu się to powiodło - że właśnie względ na tego rodzaju zasady nie pozwala mu zaryzykować raptownej styczności ze zmarłym i przykuwa go do fotela.

Gdy rozważał tę kwestię, zdało mu się, że od stołu dobiegł cichy dźwięk - jaki mianowicie, tego żadną miarą nie byłby zdolny wyjaśnić. Nie zwrócił głowy w tamtą stronę. Bo i po co - po ciemku? Ale nasłuchiwał - bo i czemużby nie miał nasłuchiwać? Zakręciło mu się przy tym w głowie, aż musiał chwycić się poręczy fotela. W uszach dziwnie mu dzwoniło. Czuł się tak, jakby głowa miała mu pęknąć. Ubranie dławilo pierś. Próbuąc dociec przyczyny

tych wrażeń zastanawiał się, czy są one oznaką strachu. Wreszcie przeciągłym, potężnym wydechem wypuścił powietrze z płuc. Klatka piersiowa jak gdyby zapadła się. Łapczywie zaczerpnąwszy powietrza, które wypełniło zmęczone płuca, Jarette pozbył się zawrotu głowy, zarazem uświadamiając sobie, że nasłuchiwał z takim skupieniem, iż mało brakowało, a byłby się udusił. Odkrycie to zirykowało go; wstał, odepchnął nogą fotel i zamaszystym krokiem ruszył ku środkowi pokoju. Ale po ciemku zamaszystym krokiem nie można zejść daleko. Jarette zaczął macać rękoma na oślep, a napotkawszy ścianę, ruszył wzdłuż niej, dotarł do rogu pokoju, skrzył, trzymając się ściany minął oba okna i w kolejnym rogu raptownie natknął się na pulpit, który przewrócił się z łoskotem. Jarette wzdrygnął się. Był wyprowadzony z równowagi.

- Do diabła, jak mogłem zapomnieć, gdzie stoi? - mruknął i trzymając się trzeciej ściany skierował się w stronę kominka. - Muszę tu wszystko pouładzać - dodał, po omacku szukając na podłodze świecy.

Tę odnalazłszy, zapalił ją i od razu spojrzął w stronę stołu, na którym, rzecz jasna, nic a nic się nie zmieniło. Pulpit leżał na podłodze, pozostawiony własnemu losowi: Jarette zapomniał go „uładzić”. Więzień rozejrzał się po pokoju, poruszeniami świecy trzymanej w dłoni rozpraszając co głębsze cienie, po czym podszedł do drzwi, by obracając gałką i ciągnąc za nią z całych sił sprawdzić, czy zamknięte. Drzwi nie ustąpiły, co najwidoczniej w jakiś sposób go usatysfakcjonowało; w rzeczy samej, jeszcze solidniej zabezpieczył je zasuwą, której do tej pory nie zauważył. Znow usiadł w fotelu i spojrzął na zegarek: było wpół do dziesiątej. Drgnął, zaskoczony, i przyłożył zegarek do ucha: nie stanął. Świecy wyraźnie ubyło. Jarette znow ją zgasił i tak jak przedtem postawił obok fotela.

Spokój opuścił pana Jarette. Rzucano się w oczy, że nierad jest z otoczenia i że ma to sobie za złe.

- Czegóż miałbym się obawiać? - myślał. - To i śmieszne, i niegodne. Nie będę taki głupi.

Ale człowiek nie nabywa odwagi przez to, że powtarza sobie: „będę odważny”, ani przez to, że uznaje jej stosowność w danych okolicznościach. Im bardziej Jarette się łąjał, tym więcej widział powodów, aby sobie przyganiać. Im więcej wygrywał wariacji na prosty temat, zatytułowany „Nieszkodliwość umarłych”, tym nieznośniejszy dysonans wkładał się w jego uczucia.

- Cóż to! - zawołał, umęczony na duchu. - Cóż to! Ja, w którego naturze nie ma ni cienia skłonności do zabobonu... ja, który nie wierzę w nieśmiertelność... ja, który wiem (a w tej chwili bardziej niż kiedykolwiek jestem przeświadczony), że życie pośmiertne to mrzonka zrodzona z pragnień - mam za jednym zamachem przegrać zakład, utracić honor i szacunek dla samego siebie, może nawet postradać zmysły, bo w umysłach jakichś dzikich przodków, zamieszkujących jaskinie i nory, zrodziło się to monstrualne przekonanie, że zmarli chodzą po nocy?... Że...

Wyraźnie, ponad wszelką wątpliwość, usłyszał za plecami odgłos lekkich, miękkich stąpanieć, rozmyślnych, rytmicznych, coraz to bliższych!

IV

Następnego ranka tuż przed świtem doktor Charter, jadąc powozem w towarzystwie młodego przyjaciela nazwiskiem Shelby, zwolna przemierzał ulice North Beach.

- Nadal żywi pan młodzieńczą wiarę, iż pański przyjaciel ma dość odwagi, czy też flegmy? - zapytał starszy z dwóch mężczyzn.

- Sądzi pan, że przegrałem zakład?

- Jestem pewien, że pan przegrał - z obezwładniającą emfazą odparł Shelby.
- Na mą duszę, mam nadzieję, że się pan nie myli.

Słowa te wypowiedziane zostały z przejęciem, bez mała uroczyście. Przez czas jakiś panowało milczenie.

- Shelby - podjął doktor, na którego twarzy malował się wyraz wielkiej powagi, widoczny dzięki ruchomym smugom słabego światła, wnikającym do powozu, gdy ten mijał latarnie uliczne. - Cała ta afera mocno mnie niepokoi. Nie wdałbym się w nią, gdyby nie to, że pański przyjaciel zirytował mnie, tak wyniośle odnosząc się do moich powątpiezań w jego odporność - cechę bądź co bądź czysto fizyczną - i że miał czelność z całym spokojem zaproponować, aby trup był trupem lekarza. Jeżeli coś się stanie, czeka nas katastrofa - obawiam się zresztą, że zasłużona.

- A co się może stać? Nawet gdyby sprawy miały przyjąć poważniejszy obrót, o co zresztą jestem zupełnie spokojny, wystarczy, że Mancher „wskrzesi się” i wytłumaczy, w czym rzecz. Co innego, gdyby w grę wchodził autentyczny okaz z prosektorium, albo któryś z pańskich nieżyjących pacjentów.

A więc doktor Mancher dotrzymał słowa: to on był trupem.

Doktor Charter długo się nie odzywał. Powóz tymczasem włókł się w zółwym tempie tą samą ulicą, którą przemierzył już dwa czy trzy razy. Po jakimś czasie doktor Charter rzekł:

- Miejmy nadzieję, że jeśli Mancher musiał zmartwychwstać, zrobił to dyskretnie. Gdyby popełnił przy tym jakiś błąd, mogłoby się okazać, że nie poprawił sytuacji, tylko ją pogorszył.

- Tak - powiedział Shelby. - Jarette zabiłby go. Ale, doktorze - dodał, spoglądając na zegarek, gdy powóz mijał latarnię gazową - dochodzi czwarta; nareszcie.

Już po chwili obaj panowie opuściwszy pojazd zmierzali szparkim krokiem w stronę z dawien dawna nie zamieszkanego domu, będącego własnością doktora, gdzie zgodnie z warunkami szalonego zakładu uwięzili pana Jarette. Gdy byli już blisko, napotkali mężczyznę, który biegł im naprzeciw.

- Czy potraficie panowie powiedzieć - zawołał, przystanąwszy raptownie - skąd mogę sprowadzić lekarza?

- O co chodzi? - niezobowiązująco spytał Charter.

- Idźcie i sami zobaczcie - odparł tamten i znów ruszył biegiem.

Spiesznie podjęli marsz. Dotarłszy do domu spostrzegli kilka osób, które wchodziły doń w pośpiechu i w podnieceniu. Z otwartych okien sypialni w paru domach, już to sąsiadujących z domem doktora, już to położonych po przeciwnej stronie ulicy, wyglądały głowy. Wszystkie te głowy zadawały pytania, a żadna nie słuchała, o co pytają pozostałe. Tu i ówdzie świeciło się w oknach, których jeszcze nie odsłonięto; mieszkańcy tych pokojów ubierali się, żeby zejść na dół. Dokładnie na wprost drzwi domu, do którego zmierzali, latarnia uliczna rzucała skąpe, żółte światło, zdając się przy tym mówić, że jeśliby zechciała, mogłaby wydobyć na jaw znacznie więcej. U samych drzwi Shelby przystanął i położył dłoń na ramieniu towarzysza.

- Już po nas, doktorze - powiedział z ogromnym wzburzeniem, dziwnie klóącym się z nonszalancją sformułowań. - Gra potoczyła się nie po naszej myśli. Nie wchodźmy. Byłbym za tym, żeby się gdzieś przyciąć.

- Jestem lekarzem - ze spokojem odparł doktor Charter. - A właśnie lekarza mogą tam potrzebować.

Pokonali kilka schodków przy samych drzwiach i już mieli wejść. Drzwi stały otworem; stojąca na wprost nich latarnia oświetlała korytarz, do którego prowadziły. Był on pełen ludzi. Niektórzy weszli na schody, wznoszące się w głąbi, a skoro na piętrze ich nie wpuszczono, czekali pomyślniejszego obrotu wydarzeń. Wszyscy mówili, nikt nie słuchał. Wtem na górnym podeście wszczęło się okropne zamieszanie; z któregoś pokoju wypadł jakiś człowiek

i właśnie wyrwał się tym, co usiłowali go zatrzymać. Przedzierał się przez bezczynny, zdjęty trwogą tłum, rozpychał gapiów, przygniatał ich do ściany lub, jeśli stali po drugiej stronie schodów, przypierał do poręczy, niektórych chwycił za gardło, wymierzał wściekle razy, strącał ze schodów i deptał tych, co upadli. Ubranie miał w nieładzie, był bez kapelusza. Spojrzenie jego, dzikie i pełne niepokoju, miało w sobie coś, co przerażało bardziej, niż nadludzka siła, jaką najwidoczniej posiadał. Z gładko wygolonej twarzy uciekła wszystka krew, włosy zaś były śnieżnobiałe.

Stojący u podnóża schodów, mając więcej po temu swobody, rozstąpili się przed owym człowiekiem. Shelby wyrwał się z tłumu.

- Jarette! Jarette! - zawołał.

Doktor Charter schwycił go za kołnierz i przemocą kazał mu się cofnąć. Człowiek, który zbiegł ze schodów, spojrzawszy im prosto w twarz, nie dając poznać, że ich dostrzegł, po czym skoczył ku drzwiom, zbiegł po schodkach, pognął ulicą i zniknął w oddali. Zażywny policjant, który z nieco mniejszym powodzeniem przedzierał się przez zgromadzony na schodach tłum, w chwilę później podążył za zbiegiem i ruszył w pogoń, a wychylone z okien głowy - były to podówczas głowy kobiet i dzieci - wrzaskliwie kierowały pościgiem.

Ponieważ tłum tarasujący schody nieco się przez ten czas przerzedził, jako że większość gapiów wybiegła na ulicę, żeby śledzić poczynania uciekiniera i tego, kto go ścigał, doktor Charter przedostał się na podest, a w ślad za nim Shelby. W korytarzu na piętrze stojący w drzwiach funkcjonariusz odmówił im wstępu.

- Jesteśmy lekarzami - powiedział doktor, wobec czego pozwolono im wejść. Pokój pełen był mężczyzn; ledwie widoczni w półmroku, tłoczyli się wokół stołu. Nowo przybyli przecisnęli się przez tłum i zajrzeli pomiędzy głowami stojących w pierwszym rzędzie. Na stole, dolne kończyny mając okryte prześcieradłem, leżało ciało mężczyzny, objęte smugą jaskrawego światła z latarni z soczewką, którą trzymał policjant stojący u nóg zmarłego. Resztę obecnych - w tym także policjanta, który trzymał latarnię, z wyjątkiem tych, co stali w pobliżu głowy denata - skrywał mrok. Twarz trupa była żółta, odrażająca, straszna! Spod uchylonych powiek widać było białka oczu; dolna szczęka opadła. Wargi, podbródek i policzki zbrukane były pianą. Wysoki mężczyzna, wedle wszelkich oznak lekarz, pochylał się nad ciałem, zagłębiwszy dłoń pod gors koszuli zmarłego. Po chwili wyjął rękę spod koszuli nieboszczyka i wsunął mu w otwarte usta dwa palce.

- Ten człowiek nie żyje mniej więcej od sześciu godzin - oświadczył. - Powinien się nim zająć coroner.

Wyjawszy z kieszeni wizytówkę, podał ją policjantowi i ruszył ku drzwiom.

- Proszę opuścić pokój - niech wszyscy wyjdą! - ostrym tonem rzekł policjant. Ciało zniknęło, jakby porwane jakąś siłą, gdy funkcjonariusz, to tu, to tam poruszając latarnią, mierzył strumieniem światła w twarze zgromadzonych. Skutek był zdumiewający! Oślepieni, zbici z tropu, niemal przerażeni, bezładnie rzucili się do drzwi, przepychając się, tłocząc i wzajemnie podcinając sobie nogi w popłochu, niby zastępy Nocy pierzchające w obliczu strzała Apollina. Ludzie zbici w jedną masę zmagali się i tratowali się nawzajem, a policjant łał na nich światło bezlitośnie i nieprzerwanie. Prąd porwał i wymiół z pokoju Chartera i Shelby'ego, zgarnął ich ze schodów niczym wodospad i wypchnął na ulicę.

- Na miły Bóg, doktorze! Czy nie mówiłem, że Jarette go zabije? - rzekł Shelby, skoro tylko dostatecznie oddalili się od zbiegowiska.

- Zdaje się - odparł doktor bez widocznego przejęcia.

Szli dalej w milczeniu, mijając dom za domem. Na tle szarzejącego wschodu odcinały się zarysy domostw plemion zamieszkujących wzgórze. Dobrze wszystkim znajomy wóz z mlekiem przemierzał już ulice miasta; niebawem wkroczyć miał na scenę człowiek od piekarni; gazeciarz ruszył już w świat.

- Odnoszę wrażenie, młodzieńcze - powiedział Charter - żeśmy obaj ostatnimi czasy

nadużywali porannych spacerów. To niezdrowo. Potrzeba nam odmiany. Co byś powiedział na propozycję podróży po Europie?

- Kiedy?

- Mniejsza o szczegóły. Myślę, że dziś o czwartej po południu nie będzie za późno.

V

Po upływie siedmiu lat siedzieli we dwóch na ławce na Madison Square w Nowym Jorku, rozmawiając poufale. Jakiś człowiek, który od pewnego czasu przypatrywał im się, przez nich nie zauważony, zbliżył się, dwornie uchyliwszy kapelusza obnażył białe niczym szron pukle i rzekł

- Wybaczcie, panowie, że się wtrącam, ale ktoś, kto zabił człowieka przez to, że ożył, najlepiej zrobi, zamieniając się z nim ubraniem, aby przy lada okazji wyrwać się na wolność

Charter i Shelby znacząco spojrzeli po sobie. Widać było, że są ubawieni. Utkwiwszy w oczach nieznajomego łagodne spojrzenie, doktor powiedział:

- Zawsze miałem ten właśnie zamiar. W zupełności zgadzam się z panem co do korzyści...

Raptem urwał, zbladł i wstał. Wpatrywał się w tamtego z otwartymi ustami; widać było, że drży.

- A! - powiedział nieznajomy. - Widzę, że źle się pan czuje, doktorze. Jeśli nie umie pan sam się wyleczyć, pomoże panu doktor Shelby.

- Kim pan jest, u diabła? - bez ogródek spytał Shelby.

Nieznajomy podszedł bliżej i nachyliwszy się ku nim, szepnął:

- Niektórzy mówią, że nazywam się Jarette, ale przez wzgląd na dawną przyjaźń nie omieszkałam powiedzieć panom, że stoi przed wami doktor William Mancher.

W obliczu tego wyznania Shelby poderwał się z ławki.

- Mancher! - wykrzyknął.

- To prawda, jak mi Bóg miły! - dodał doktor.

- Tak - z nieuchwytnym uśmiechem rzekł nieznajomy. - Owszem, to prawda, bez wątplenia.

Zawahał się; przez chwilę zdawało się, że próbuje coś sobie przypomnieć, po czym zanucił popularną arię. Najwidoczniej zapomniał o ich istnieniu.

- Chwileczkę, panie Mancher - powiedział starszy z dwóch przyjaciół. - Niech nam pan powie, co właściwie wydarzyło się tamtej nocy... no, wie pan: co przydarzyło się Jarette'owi.

- Ach, tak, Jarette - rzekł tamten. - To z mojej strony dziwne niedopatrzenie, że dotąd panom nie powiedziałem... tak często opowiadam tę historię. Widzicie panowie, ponieważ podслуchałem, jak mówił do siebie, wiedziałem, że się okropnie boi. Nie mogłem więc oprzeć się pokusie, żeby ożyć i trochę zabawić się jego kosztem, doprawdy, nie mogłem się powstrzymać. Nie było w tym nic złego, tyle, że oczywiście nie spodziewałem się, że tak serio to potraktuje. Naprawdę, nie spodziewałem się. A potem... no, potem czekało mnie nie lada zadanie, kiedy musiałem zamienić się z nim miejscami, a potem... szlag by was trafił! Nie wypuściliście mnie!

Nic nie mogło dorównać zaciekleści, z jaką zostały wypowiedziane ostatnie słowa. Obaj mężczyźni cofnęli się, zatrwożeni.

- My? Ależ... ależ... - wyjąkał Charter, który do cna utracił panowanie nad sobą. - Myśmy nie mieli z tym nic wspólnego.

- A nie mówiłem, że jeden z was to doktor Czart, a drugi - doktor Szalbierz? - ze śmiechem spytał tamten.

- Owszem, nazywam się Charter, a to jest pan Shelby - odparł doktor, którego śmiech rozmówcy poniekąd uspokoił. - Obecnie jednak nie paramy się medycyną; jesteśmy - do licha, przyjacielu: jesteśmy szulerami.

Co było prawdą.

- To bardzo dobry zawód - doprawdy, bardzo dobry. Nawiasem mówiąc, mam nadzieję, że tu obecny pan Szalbierz wypłacił pieniądze Jaretta, jak na uczciwego udziałowca przystało. Bardzo dobry i czcigodny zawód - z namysłem powtórzył Mancher, oddalając się niedbałym krokiem. - Ale ja trzymam się dawnej profesji. Jestem najwyższym rangą lekarzem urzędowym w domu obłąkanych w Bloomingdale; do moich obowiązków należy leczenie dyrektora.

Przełożył MICHAŁ KŁOBUKOWSKI